

ZYGMUNT BAUMAN
University of Leeds

Komunizm: Czas na *post mortem*?

Wizja społeczeństwa komunistycznego została poczęta i przyszła na świat na wznoszącej się fali buńczucznej i zadziornej pewności siebie, właściwej „twardej” („stałej”, „solidnej”) fazie nowoczesności. Ślady towarzyszących jej przyjściu na świat okoliczności wryły się w nią dostatecznie głęboko, by ująć cało próbom, jakim poddawało ją następne półtora stulecia nowoczesnych dziejów. Te ślady, jak widać, zatrzeć się nie dadzą.

Od kołyski po trumnę, komunizm (zarówno jako wizja, jak i praktyka reorganizacji społecznej rzeczywistości) był i pozostał tworem owej „solidnej” (wstępnej, chwackiej, z niepoparzonymi jeszcze palcami) odmiany nowoczesności: najlojalniejszym w istocie i najbardziej oddanym dziecięciem wśród jej licznej dziatwy i najgorliwszym z jej liczniejszych jeszcze uczniów oraz prawnych bądź samowolnych spadkobierców. Towarzyszył jej wiernie we wszystkich podejmowanych przez nią krucjatach — był jednym z niewielu towarzyszy broni, którzy dochowali wierności jej ambicjom i usiłowali doprowadzić do końca jej „projekt niedokończony” (by się tu posłużyć sugestywnym, choć kontrowersyjnym wyrażeniem Jürgena Habermasa) jeszcze długo potem, gdy fala historii zmieniła kierunek i już „solidnie nowoczesny” zamiar zastąpienia żywołu strukturami skomponowanymi i zmontowanymi na zamówienie, zamocowanymi w realiach społecznych raz na zawsze i opornych wobec wszelkich dalszych korektur powszechnie niemal porzucono, wykpieno lub potępiono czy wręcz wymazano z pamięci. Niezachwianie lojalny zamierzeniom, obietnicom, zasadom i kanonom „solidnej” nowoczesności, błąkał się jeszcze komunizm (a raczej sieroty po jego wizji) przez lat kilka, uparcie a samotnie, na polu bitwy już przez inne oddziały nowoczesnej armii porzucony — choć od chwili gdy nowoczesność „solidną” zastąpiła „płynną”, jego losy były już przesądzone i nie stać go już było na to, by utrzymać się przy życiu przez czas dłuższy. W tej nowej fazie nowoczesności komunizm nie mógł być niczym innym niż czkawką po minionych czasach, przeżytkiem z innej epoki, wyciągniętym z lamusa dziwactwem, który

nie miał nic do zaoferowania pokoleniom narodzonym i wychowanym w nowej erze — ani nie mógł udzielić żadnej sensownej, wiarygodnie brzmiącej a atrakcyjnej i rozogniającej wyobraźnię odpowiedzi na całkiem odmienne ambicje, pragnienia, obawy i troski tych pokoleń.

* * *

U swego zarania, i w ciągu całego „solidnego” etapu swej historii, nowoczesność była reakcją na coraz jaskrawszą kruchość i niewydolność „starych porządków” (*ancien régime*). Wyosobnienie się i pogłębiająca separacja świata interesów od gospodarstwa domowego zadała tym porządkom cios śmiertelny: wraz z uniezależnianiem się czynności wytwórczych i dystrybucyjnych od rodziny, a więc i od gęstej sieci więzi wspólnotowych, sąsiedzkich i towarzyskich, w jaką życie rodzinne było uwikłane, i wkomponowaniem tych czynności w odrębny „świat interesów”, wolny zarówno od wspólnotowego nadzoru, jak i od skępowań narzucanych przez reguły cechowe, tkanka więzi społecznych, z której „stare porządki” czerpały swe siły żywotne i której zawdzięczały swą zdolność spontanicznego samoodtwarzania, zaczęła się gwałtownie pruć i rozpadać na strzępy.

W konfrontacji ze świeżo uwolnionymi mocami kapitału, ignorującymi lub gwałcącymi jawnie a bezkarnie zastane reguły gry („Wszystkie stęże, zaśniedziałe stosunki wraz z nieodłącznymi od nich, z dawien dawna uświęconymi pojęciami i poglądami ulegają rozkładowi [...] Wszystko, co stanowe i zakrzepłe, znika, wszystko, co święte, ulega sprofanowaniu [...]” — jak z podziwem i zachwytem stwierdzili w 1848 roku dwaj gorącogłowi młodzieńcy znad Renu, Karol Marks i Fryderyk Engels), odziedziczone po dawnym ładzie instytucje społeczno-polityczne okazały się bezsilne. Nie były one w stanie poskromić czy oswoić nowych mocy, umiarkować ich poczynañ czy podporządkować je regułom ani przykrócić (a tym bardziej naprawić) powodowanych przez nie społecznych spustoszeń, otoczyć opieką „ofiary współbieżne” gospodarczego postępu czy zapobiec „szkodom współbieżnym”, jakie postęp ów rozsiewał gęsto na swym szlaku. „Ciała stałe” (przekazane przez tradycję, odziedziczone struktury ludzkiego współżycia) skompromitowały się w dwójnasób: nie zdołały uczynić działań nowych mocy przewidywalnymi, nie wspominając już o poddaniu ich poczynañ kontroli, ani nie potrafiły zredukować szkód przez nie wyrządzanych.

Krótko mówiąc: przeszłość nie zdała egzaminu i z próby czasu wyszła zdyskredytowana. Zarówno dla ofiar, jak i świadków ich niedoli było jasne, że ślady przeszłości trzeba z życia wymazać, jej pozostałości wytrzebić i wytępić, aby oczyścić plac pod budowę nowego, mocarniejszego i bardziej godnego zaufania ładu. Daniel Bell lakonicznie a cierpko określił istotę „nowoczesnego ducha” jako „zdecydowaną wolę unicestwienia przeszłości i kontrolowania przyszłości”¹. „Nowoczesność” zrodziła się w postaci zamiaru odcięcia się grubą krechę od dziedzictwa przygodnością miotanej przeszłości, pozbycia się jej balastu i zaczęcia od nowa — tym razem w metodyczny sposób, kierowany rozumem.

Czterdzieści lat po Bellu litewski filozof Leonidas Donskis zapytał (było to pytanie retoryczne):

¹ D. Bell, *The Cultural Contradictions of Capitalism*, London 1976, s. 4.

Jak gdyby nie dość było projektów architektonicznych Le Corbusiera i jego propozycji zburzenia wszystkich istniejących miast i ich starych dzielnic, i wyczyszczenia płócien z farb i zamalowania ich na nowo — czyżby najgorliwsi orędownicy modernizacji, bolszewicy i maoiści, nie zabrali się do entuzjastycznej realizacji tych pysznych rekomendacji? Czyżby nie przypadła nam w udziale własna doza totalitarnych porywów do tępienia sztuk i ich niszczenia?²

Niszczenie sztuk... Nowa sztuka jako akt niszczenia sztuki starej... Ale zważmy, że architektura, malarstwo i inne sztuki piękne podążały jeno śladem ducha swej epoki, jak to zresztą zgodnie czyniły i pozostałe obszary ludzkiego bycia-w-świecie: nowoczesność przeklasyfikowała *całość* ludzkiego życia i *wszelkie* odmiany życia — w pojedynkę, w kilkoro czy ze wszystkimi pospołu — w dzieła sztuki. W nowych wspaniałych czasach każdy szczegół ludzkiego życia powinien być projektowany na nowo, poczęty na nowo, zrodzony na nowo; żaden nie był *dany*, każdy był tylko *zadany*, każdy winien się być dopiero *stać*... Niczego nie można było *a priori* pozostawić, a i niczego w praktyce nie pozostawiano poza zasięgiem ludzkiej ambicji uwolnienia się od historii za pomocą „twórczego zniszczenia”, jeden po drugim, jej okowów. I nie było też niczego, czego by ludzka zdolność twórczego zniszczenia nie była zdolna usunąć z drogi, wyrzucić na nice lub wyczarować *ab nihilo*. Jak to Lenin miał, u progu dwudziestego stulecia, oświadczyć z typowo nowoczesną buńczucznością i zadufkostwem: nie istnieją takie twierdze, do których zdobycia bolszewicy nie byliby zdolni, a więc których zdobycia mieliby omieszkąć...

Pojęcie bankructwa *ancien régime*'u, czyli dawnych porządków, odnosiło się w ostatecznym rachunku do wątplenia i rozpełzania się tkanki społecznej, a w efekcie „ładu społecznego jako takiego”, jedynej alternatywy społecznego nieładu i chaosu. Nowoczesność była rezolutną i energiczną reakcją na to zagrożenie. Tak zwany (ściślej, tak *retrospektywnie* nazwany) „projekt nowoczesności” był w gruncie rzeczy zbiorem licznych, rozsianych z początku i nieskorelowanych, lecz stopniowo kondensowanych i koordynowanych (w traktatach filozofów, a z czasem i w ministerialnych gabinetach) poczynań, obliczonych na zapobieżenie nadciągającej nieubłaganej katastrofie. Szło w nim o to, by przestarzałe, spleśniałe i rozpełzające się tkanki międzyludzkich powiązań zastąpić solidnymi strukturami odpornymi na rdzę, pleśń i grzybienie: zastąpić to, co ulega rozkładowi, czymś, co ze względu na swą lepszą jakość rozkładowi się nie podda. „Stężalość” zastanych struktur sama w sobie nie byłaby ich wadą i powodem do frasunku, gdyby nie to, że postępujący rozkład struktur je skompromitował; to nie *nadmiar* solidności był wadą tych struktur, lecz jej *niedostatek*. Fakt ich rozkładu obnażył retrospektywnie ich niedoskonałość: przyrodzoną łamliwość i kruchość. Miejsce przez nie opróżnione należało z kolei wypełnić strukturami, na których trwałości można by było polegać — a to dzięki temu, że zaprojektowało się je na miarę zadań, do jakich spełniania je powołano z myślą o ich uodpornieniu na meandry historii: o ich zabezpieczeniu przed wszelką, obecną i przyszłą, przygodnością i grą przypadków.

Jak skonstatowali dwaj cytowani już wyżej nadreńscy entuzjaści, kapitalizm zdruzgotał przestarzałe, pośledniego gatunku struktury — i uczynił to żywiołowo, niejako z naturalnego popędu i w zgodzie ze swą naturą. Projektantom i budowniczym nowego ładu pozostało tylko zadanie uprzątnięcia pobojuwiska z gruzów

² L. Donskis, *Troubled Identity and the Modern World*, New York 2009, s. 139.

— celem oczyszczenia gruntu pod budowę twardych, i tym razem niewzruszonych, struktur.

* * *

Nadawanie „struktury” macierzy możliwości czy biegowi zdarzeń to tyle co manipulowanie prawdopodobieństwami: potęgowanie prawdopodobieństwa jednych permutacji czy zaszłości przy równoczesnym minimalizowaniu prawdopodobieństwa drugich; potęgowanie i minimalizowanie dążące do tego, by pewnym („koniecznym”, „nieuniknionym”) uczynić wybór/zajście jednych i odrzucenie/niezajście drugich. Nowoczesność narodziła się pod znakiem *marzenia o pewności* i *dążenia do pewności*. Pod tym znakiem zwyciężała — i pod tymże znakiem ponosiła swe porażki.

Słupami milowymi znaczącymi szlak nowoczesnej wyprawy do źródeł pewności (czyli do ładu społecznego, w jakim pewność, jak sądzono, brała swój początek) były odkrycia naukowe i techniczne wynalazki, w których pokładano nadzieję eliminowania jeden po drugim wszystkich i wszelakich przyczyn bieżącego zamętu i przyszłych zaburzeń. Przyjmowano, że wędrować się będzie długo, ale nie sądzono, by wyprawa miała być bezkresna i ciągnąć się w nieskończoność. Ile by czasu i trudu nie wymagała, miała być przedsięwzięciem jednorazowym, którego nie trzeba będzie podejmować na nowo, gdy się raz dotrze do mety; miała być wysiłkiem uciążliwym może i żmudnym, ale niewymagającym powtórek. Zakładano, że zarówno doświadczany aktualnie zamęt, jak i boleśnie przeżywana przygodność losów są chwilową i z zasady usuwalną anomalią: skutkiem ludzkiej nieporadności w projektowaniu i utwierdzaniu samoodtwarzającego się stanu równowagi. Świat jawił się jako pojemnik problemów do rozwiązania; punktem docelowym parania się kolejnymi problemami (o, w założeniu, skończonej liczbie) była wizja społeczeństwa bezproblemowego (w domyśle: lista nierozwiązanych problemów liczy sobie, powiedzmy, tysiąc pozycji; po rozwiązaniu jednego z nich pozostanie dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć...). Celem wysiłku było ustawienie z powrotem na torach świata wykołowanego wskutek wady silnika lub pomyłek kierowców, a głównym zadaniem projektowanych w tym celu przemian było uczynienie dalszych przemian zbędnymi. Celem ruchu było osiągnięcie stanu wiecznej stabilności: zachwiać obecnym stanem ludzkiego świata należało gwoździem zapewnienia mu, raz na zawsze, stanu równowagi. *Celem wysiłku był spoczynek.*

Koryfeusze kielkujących „nauk społecznych” pospołu z wizjonerami utopii mozolili się nad szkicowaniem modeli układu trwałego i stabilnego społeczeństwa, nieodmiennie powracającego do swego kształtu, na przekór wszelkim naciskom z zewnątrz, i wewnętrznym zaburzeniom: *summa summarum*, „społeczeństwa w stanie spoczynku” (*stable-state society*), czy ściślej społeczeństwa homeostatycznego, samoczynnie powracającego do równowagi po każdym jej zakłóceniu. Wedle panującej opinii liczba problemów domagających się rozwiązania (a w konsekwencji także reform i przeobrażeń stanu rzeczy) była skończona i z rozwiązaniem każdego problemu kurczyła się; skończone też były, i z góry obliczalne, liczba i pojemność ludzkich potrzeb — i one także malały wraz z dostarczeniem dóbr niezbędnych do zaspokojenia każdej kolejnej potrzeby. Innymi słowy, *misją postępu było zakoń-*

czenie jego misji: spełnienie zadania polegającego na uczynieniu jego kontynuacji zbędną.

Wszystkie te przekonania składały się na wczesnonowoczesną *doxa*: ów zbiór narzędzi refleksji, służących swej roli tym lepiej, im rzadziej same stawały się przedmiotem refleksji. To w kontekście takich właśnie powszechnie przyjętych, czasem wypływających na powierzchnię wierzeń, czasem jawnie głoszonych, lecz najczęściej ukrytych na dnie (lub pod dnem) świadomości i nieartykułowanych, dokonała się konfrontacja przeciwstawnych wzajemnie koncepcji drogi, która zapewne miała do wspólnego przeciwnikom celu: zapisana ona została w historii jako konflikt wizji *kapitalistycznej z socjalistyczną*.

Orędownicy obu koncepcji odnosili się z powagą i szacunkiem do trójdzielnej, nowoczesnej obietnicy wolności, równości i braterstwa, i podobnie traktowali założenia nierozzerwalnej więzi łączącej trzy jej składniki. Orędownicy wersji socjalistycznej potępiali wszakże tezy i praktyki kapitalistyczne (a szczególnie ów najbardziej wśród nich radykalny i doktrynalnie zacietrzewiony program leseferyzmu) za to, że niewiele, albo i nic, nie czyni dla zrealizowania współsygnowanej obietnicy. Socjaliści oskarżali w szczególności kapitalizm o podwójny grzech marnotrawstwa dóbr (czyli regularnej tendencji do nadprodukcji, a więc zużywania zasobów bez społecznego pożytku — czemu dałoby się zapobiec, podliczając sumę niezaspokojonych potrzeb i odpowiednio do niej planując produkcję) oraz niesprawiedliwości ich rozdziału (czyli systematycznego przechwytywania przez fabrykantów wartości wytwarzanych przez pracowników najemnych). Obu plag dałoby się, zdaniem socjalistów, uniknąć lub pozbyć, gdyby nie przeszkoda w postaci prywatnej własności środków wytwarzania dóbr: okoliczności, która wtrącała *logikę produkcji* w konflikt z *logiką zaspokajania ludzkich potrzeb*, poddając ją w zamian, wbrew społecznemu ze swej natury charakterowi produkcji, *logice pogoni za zyskiem*. Wedle oczekiwań marksistowskiej wersji socjalizmu tę przeszkodę usunąć mogła tylko, i zaiste usunąć miała, rewolucja proletariatu — owego grabarza kapitalizmu przez kapitalizm zrodzonego i odchowanego. Doprowadzani do desperacji z powodu nieustającego ubożenia i dokuczliwej odmowy ludzkiej godności, sproletaryzowani robotnicy prędkiej czy później zbuntują się przeciw stanowi rzeczy, narzucając zmianę reguł gry, gwoli zasadom sprawiedliwości, na ich korzyść.

W miarę upływu lat perspektywa „rewolucji proletariackiej” miast się zbliżać, oddalała się wszakże i stawała coraz bardziej księżycowa. Proroctwa nieuchronnej „pauperyzacji proletariatu” nie sprawdziły się — po części dlatego, że rządy, skądinąd postrzegane jako komitety czy organa wykonawcze klasy kapitalistów, z obawy przed upiorem rewolucji przyhamowywały żądzę zysku i zapobiegały co bardziej nieludzkim jej następstwom (czyniąc w ten sposób zapowiedź rewolucji, jakby powiedział Robert Merton, samoobalającą się przepowiednią), a po części dzięki skutecznym narzędziom robotniczej samoobrony, używanym z rosnącym powodzeniem do ulepszenia warunków pracy i robotniczego bytu w ramach istniejącego kapitalistycznego ładu. Natomiast mnożyły się dowody na znaczne już, a nadal rosnące możliwości społecznego i politycznego awansu klasy robotniczej w ramach kapitalistycznego ustroju, i jej zwiększonego udziału w rosnącym dobrobycie rynkowo-kapitalistycznych społeczeństw. Łącznym rezultatem obu zjawisk była coraz

widoczniejsza sprzeczność przewidywań Marksowskiego proroctwa z realiami historycznej tendencji. Jaskrawa rozbieżność prognozy z rzeczywistością, stawiająca teoretyczne założenia socjalizmu pod znakiem zapytania, a jego strategię przed koniecznością rewizji, zaowocowała w pierwszym rzędzie gorączkowym dociekaniem jej przyczyn.

Na przełomie XIX i XX stulecia lista prób ratowania rewolucyjnej prognozy przed piętrzącymi się dowodami jej mylności wydłużała się w rosnącym tempie. Jednym z najczęściej pojawiających się w niej wątków były wskazania na zjawisko „robotniczej burżuazji”: względnie wąskiej, ale niewspółmiernie wpływowej części klasy robotniczej, „przekupywanej” stosunkowo wyższymi zarobkami i ostentacyjnie, przez jej najemców, demonstrowanym szacunkiem i zaufaniem, z myślą o tym, by zainteresować ją utrzymaniem, w jaskrawej sprzeczności z interesami klasy, do jakiej się zaliczali, kapitalistycznego systemu. Inny wątek — koncepcja „fałszywej świadomości”, nieobecna w pismach Marksa, ale nader spopularyzowana wywodami György Lukácsa, który szedł dalej jeszcze: sugerował, że układ społeczny typowy dla kapitalizmu maskuje niejako ustrojowe przyczyny niedoli i nie pozwala upośledzonej, wyzyskiwanej i dyskryminowanej części społeczeństwa dopatrzeć się prawdy własnej sytuacji, a w szczególności przyczyny swej biedy i szans na wydobycie się ze stanu zbiorowego upośledzenia. Koncepcja ta pojawiała się w różnych postaciach, które łączył wszakże płynący z nich wszystkich identyczny wniosek, że nie zanosì się na to, by proletariat samoistnie doszedł do odkrycia swej historycznej misji i aby rewolucja w imię wyzwolenia proletariatu od wyzysku miała być (mogła być) zainicjowana, przeprowadzona i doprowadzona do końca przez sam proletariat (w tymże mniej więcej czasie przemianowany przez komunizującą inteligencję, z niemłą domieszką wielkopańskiej wyniosłości i pogardy, w „masy”). Lenin będzie się upierał, że jeśli pozostawić proletariat samemu sobie, wzniesie się on co najwyżej do poziomu „mentalności związkowej”; podczas gdy intelektualni pasażerowie leninowskiej podróży nadbudują polityczną przyganę swą własną snobistyczną/elitarną pogardą dla „burżuazyjnych filistrów”, pomawiając „masy” o przyrodzoną niezdolność i organiczną niechęć to wzniesienia się ponad poziom ogłupiającej i obezwładniającej „kultury masowej”.

To w tym kontekście, trwającym z grubsza biorąc od schyłku XIX stulecia do połowy XX, narodził się, wyrósł i okrzepł niecierpliw, porywczy i zadziorny, w gorącej wodzie kąpany i głuchy na głosy rozważli, młodszy brat socjalizmu: ów korpus wierzeń i praktyk, który przeszedł do historii pod nazwą „komunizmu” (przejętą z *Manifestu komunistycznego*, ale wypełnioną przed jej dwudziestowiecznym zawłaszczeniem i przetworzeniem, treściami niezamierzonymi i nieantycypowanymi przez jego autorów).

Zrodził się ów kompleks z rozczarowania do idei „historycznej konieczności”, ze sfrustrowania brakiem oznak „dojrzenia” proletariatu do rewolucji, i z podejrzenia, że czas nie jest po stronie socjalizmu, a jego upływ działa na niekorzyść socjalizmu: że jeśli się mianowicie pozostawi sprawy ich obecnemu biegowi, perspektywy zastąpienia kapitalizmu socjalizmem będą z upływem czasu wątpały i oddalały się, miast potęgować się i zbliżać. Wlokącej się ślimaczo historii dodać trzeba więc ostrogi, a historię błakającą po rozdrożach przymusić do trzymania się

pożądanego szlaku — a w tym celu wypada wytrącić ospałe masy z drzemki. Świadomość ich historycznego powołania/przeznaczenia trzeba wtłoczyć z zewnątrz do wnętrza proletariackich dzielnic, w których sama z siebie by się nie poczęła i nie zrodziła. W ostatecznym rachunku rewolucji „dla dobra mas” nie dokonają masy, ale specjaliści od rewolucji, „zawodowi rewolucjoniści”, którzy posłużą się zdobytą w wyniku przejścia władzy aparaturą państwową i nabytymi za jej pomocą środkami przemocy do przeobrażenia „mas” w „siłę rewolucyjną”: innymi słowy, do zapędzenia mas tymi czy innymi sposobami do sprawowania wyznaczonej im roli, do której podjęcia okazały się one tak karygodnie niechętne, a do odegrania tak kompromitująco niezdolne.

Skoro w ten sposób uniezależni się rewolucję od pokrętnej logiki „dojrzewiania mas”, rewolucji będzie można dokonać w każdej chwili, nie czekając na to, aż kapitalistyczna industrializacja przekuje cierpiące w milczeniu masy wyzyskiwanych w „podmiot historii” — nowoczesny proletariat o powstańczym potencjale i rewolucyjnym powołaniu. Gdy tylko wychowa się należycie, wyćwicy i wytresuje odpowiednią ilość „zawodowych rewolucjonistów”, zbrojnych świadomością swej misji i scementowanych partyjną dyscypliną, kapitalistyczne interludium (oczyszczanie gruntu ze „wszystkiego, co stężeła”, jak choćby z przeżytków feudalizmu w nie dość jeszcze przez kapitalizm przeoranej carskiej Rosji) można będzie pominąć. Doprowadzić historię do zdeterminowanego przez „konieczność dziejową” finiszu, czyli wolnego od wyzysku i konfliktów, bezklasowego społeczeństwa, uda się partii zawodowych rewolucjonistów prędzej i sprawniej, niżby to się miało dokonać bez jej przewodnictwa. Komunizm, leninowska wersja socjalizmu, był ideologią, strategią i praktyką *drogi na skróty*.

Zarówno ta ideologia, jak i strategia wypracowana do jej realizacji, okazały się w praktyce receptą nie tyle na przebudzenie mas, ile na ich zniewolenie — zgodnie z prognozą Róży Luksemburg, sformułowaną i rozwiniętą w jej zacieklej polemice z Leninem. Ale nawet Róża Luksemburg nie mogła sobie wyobrazić ogromu nie-ludzkiego okrucieństwa, przemocy i gwałtu, do jakich leninowski pomysł musiał doprowadzić, ani makabrycznych rozmiarów spustoszenia i ludzkiego cierpienia, jakie musiał spowodować. Pchnięta do granic gdzie indziej nieosiągnanych nowoczesna obietnica szczęśliwości gwarantowanej przez racjonalnie zaprojektowane i racjonalnie zarządzane, a przemocą oktrojowane społeczeństwo, okazała się wyrokiem śmierci (bolesnej śmierci, śmierci w torturach czy na stosie) wydanym na wolność ludzką.

Doprowadzone do limitów gdzie indziej nieosiągnanych, społeczeństwo traktowane przez jego zawiadowców w sposób, w jaki ogrodnicy zwykli traktować swe ogrody, okazało się obiektem kompulsywnego i obsesyjnego tropienia, wykorzystania i wytruwania „chwastów”: jednostek ludzkich czy kategorii niepasujących do projektowanego ładu i już samą swą obecnością zakłócających harmonię całości i klarowność wizji. Jak w każdym ogrodzie, tak i w społeczeństwie zarządzanym w ogrodniczym stylu wszystko, co samoistne i spontaniczne, co pojawiał się i zakorzeniało samo przez się, z własnej inicjatywy czy popędu (czyli wszystko, co obciążone grzechem pierwotnym, jakiego ucieleśnieniem są chwasty właśnie: rośliny, które same się sieją w miejscach nie dla nich przeznaczonych, podając

tym samym w wątpliwość nieomyślność i niepodzielność projektanckiej i nadzorczej wszechwładzy ogrodnika), skazane było na unicestwienie. Miał przybliżyć przyobiecane bezpieczeństwo przejrzystego, przewidywalnego i zabezpieczonego przed przygodnością losu ludzkiego współżycia, raz wszczęta wojna, wypowiedziana wszelkiego chowu przygodnościom i zanieczyszczeniom, a ogólniej rzecz biorąc wszelkim elementom „nie-porządku” oskarżanym o utrudnianie lub uniemożliwienie takiego współżycia, zanosila się na wojnę bez końca: w miarę własnych postępów stwarzała ona coraz to nowe *casus belli* i coraz to nowe chwasty wymagające trzebień — w obfitości niezdradzającej najmniejszej skłonności do wyczerpania.

By podsumować: eksperyment komunistyczny poddał ekstremalnej, być może ostatecznej i konkluzywnej próbie realizm, a zatem i możliwość urzeczywistnienia nowoczesnej ambicji do rozciągnięcia całkowitej kontroli nad ludzkim losem i kondycją ludzką; ujawnił on przy tej okazji potworność kosztów działań podejmowanych z racji tej ambicji. Dodajmy tu, że podobnie jak narodziny komunistycznej odmiany nowoczesności były integralnym, a być może nieusuwalnym atrybutem świtu „solidnej” fazy ery nowoczesnej, jego implozja i upadek były częścią składową jej zmierzchu. Reżim komunistyczny podzielił los intencji „solidnej nowoczesności”, a w szczególności jej zamiaru zastąpienia zastanych realiów społecznych realiami zaprojektowanymi, stwarzanymi i wdrażanymi na zamówienie, na miarę precyzyjnie skalkulowanych potrzeb ludzkich.

* * *

Alternatywę komunistyczną wymyślono jako lepszą, bo krótszą i szybszą trasę, oszczędzającą czasu w wyścigach na przelaj i z przeszkodami ku przepędzeniu upiora niepewności z ludzkiej kondycji — ku historycznemu przewrotowi, o jakim zamarzyła nowoczesność w jej wstępnej, „solidnej” fazie. Wprawdzie ta wysoka o sobie opinia okazała się złudzeniem — ale zasadniczą przyczyną porażki komunistycznej alternatywy, uwiadu jej atrakcyjności i wypadnięcia z łask, albo też ostatnim gwoździem do jej trumny, było zdarzenie we wstępnej fazie nieprzewidziane ani niewyobrażane: dezintegracja i wypadanie z pola widzenia, a na dłuższą metę także i otwarte odrzucenie i potępienie, wizji docelowej, wedle której wszystkie poczynania i skuteczność wysiłków zwykło się mierzyć u zarania ery nowoczesnej. Dzwony wieszczące śmierć komunizmu rozbrzmiały wraz z porzuceniem przez nowoczesność jej początkowych intencji i ich dźwięk rozlegał się coraz głośniejsz w miarę wkraczania nowoczesności w jej obecną, „płynną” fazę.

Reżim komunistyczny mógł uważać się i być postrzegany przez innych za konkurenta we współzawodnictwie z kapitalizmem do miana najlepszego sposobu na przyspieszone unowocześnianie i najsprawniejszego systemu nowoczesnej formy życia tak długo (ale i tylko tak długo), jak długo stawką rywalizacji dla obu rywali było zaspokojenie ludzkich potrzeb uznawanych za skończone i nieelastyczne, a z tego powodu także i „obiektywnie obliczalne” — a więc jak długo rywale po obu stronach konfrontacji przyjmowali statystyki produkcji stali czy węgla „na głowę ludności” za miarodajne kryterium zalet czy wad systemu. W płynnej fazie nowoczesności, wraz z przejściem od społeczeństwa wytwórców do społeczeństwa konsumentów, kapitalizm wycofał się z tej rywalizacji — a stopień zaspokojenia

danej raz na zawsze, skończonej sumy potrzeb przestał być stawką we współzawodnictwie dwu systemów. Kapitalizm postawił teraz na potencjalną nieskończoność i wieczną rozciągłość konsumpcyjnych pragnień i możliwości, nastawiając się na obsługę ich niekończącej się ekspansji; na krzewienie pożądań, które pożądamy, a nie uśmierzenia i zaspokojenia; na mnożenie, a nie rutynizację alternatyw i na nieustające rozszerzanie zestawu możliwych wyborów; na uwalnianie prawdopodobieństw od sztywnych łożysk i wszelkich innych skrupowań, miast starań o ich stabilność, zrutynizowanie i nadzór nad ich rozsiewem. Z wyczynu i dokonania jednorazowych w zamierzeniu, czynność upływniania tego, co zakrzepłe czy rozkład tego, co stężale, przeobraziła się tym samym w ciągłą, a w domyśle wieczną, kondycję ludzką (podobnie jak nieustające „podłączanie” i „odłączanie”, obydwu z założenia chwilowe, przekształciły się w stały atrybut sieci społecznych więzi).

Do obsługi takiego, *płynnie* nowoczesnego, dogłębnie „zdergulowanego” społeczeństwa komunizm był wszakże absolutnie nieprzygotowany i niezdolny; co więcej, i nie przestając być sobą, nie mógł się na jego obsługę przestawić... Jeśli „*solidnie* nowoczesna” wersja kapitalizmu czyniła komunistyczną alternatywę w gruncie rzeczy nieuniknioną, to „ *płynnie* nowoczesne” wcielenie kapitalizmu pozbawiło komunizm statusu rywala i w gruncie rzeczy uczyniło jego realizację niemożliwą. Można się było długo, może i w nieskończoność, sprzeczać o to, czy komunizm zdolny jest „dośćgnąć i prześcignąć” kapitalizm „*solidnie* nowoczesnego” typu. Nadejście *płynnej* nowoczesności, dla odmiany, przesądziło jego porażkę — i przesądzonym uczyniło rychłe jego wypadnięcie z konkurencji i załamanie. Upadek komunistycznego reżymu jako realistycznej alternatywy wolnorynkowego społeczeństwa stał się nieuchronny wraz z radykalną zmianą stawki w międzysystemowej konkurencji i anachronizacją pomysłu i praktyki „dyktatury nad potrzebami”, jak to celnie zauważyli już w 1983 roku: Ágnes Heller, Ferenc Fehér i Gyorgi Márkus w ich wspólnym dziele pod tymże tytułem.

Nie znaczy to, by wraz z komunizmem odeszło w przeszłość wyróżniające go niegdyś i definiujące upodobanie do „drogi na skróty”. Spustoszenia dokonywane w licznych obszarach planety przez „negatywną globalizację” kapitalistycznej formy życia, pogłębianie się polaryzacji standardów życiowych i brak perspektyw na ich rychłe zniwelowanie, opieszałość mocy globalnych w leczeniu dawnych bolączek i ich wynalazczość w mnożeniu nowych, pospołu z licznymi innymi nieodłącznymi od *płynnie* nowoczesnych warunków czynnikami, wznagają raczej, niż umniejszającą pokusę „pójścia na skróty” w kręgach upośledzonych i zawiedzionych — choć inne dziś siły polityczne, o innym od komunizmu rodowodzie i innej (czasem zaciekle antykomunistycznej) proveniencji usiłują, ze sporym powodzeniem, zbić kapitał polityczny na tej osieroconej przez komunizm, ale nadal pospolitej pokusie.

* * *

Nie znaczy to także, by odchodziła w przeszłość potrzeba czy nieuchronność socjalistycznej dla kapitalizmu alternatywy. Dwa oskarżenia — o marnotrawstwo dóbr i znieczulicę moralną — wytoczone przez socjalizm kapitalizmowi nie utraciły nic ze swej mocy ani aktualności; jeśli już, to dowody kapitalistycznej winy

gromadzą się dziś i pęcznią w bezprecedensowej, bo planetarnej skali — najbardziej bodaj jaskrawo na obszarach dziś dokonującej się, z opóźnieniem, „pierwotnej akumulacji kapitału”. W Indiach, owym koronnym przykładzie oszałamiających postępów kapitalistycznej globalizacji, garstka multimiliarderów współczuje z 250 milionami ludzi zmuszonych do wegetowania za jednego dolara dziennie. 42,5% dzieci poniżej piątego roku życia cierpi z niedożywienia; ośmiu milionom dotkliwy, okrutny, bezlitosny głód doskwiera na co dzień, deformując je fizycznie i psychicznie na resztę życia, zaś dwa miliony z ich grona corocznie z tegoż powodu skazując na śmierć. Ale bieda, wraz z jej nieodłącznymi towarzyszami, upośledzeniem, upokorzeniem i brakiem perspektyw życiowych, trwa nie tylko w krajach, które zaznawały niedoli, nędzy i niedożywienia od niepamiętnych czasów: odwiedza ona dziś ponownie kraje, które — jak się do niedawna zdawało — przepędziły ją ze swych granic raz na zawsze i skutecznie się przed jej powrotem zabezpieczyły. Na przykład w tym roku w Wielkiej Brytanii czternastu tysiącom dzieci szkolnych trzeba było dodatkowo przyznać prawo do bezpłatnych obiadów, aby załagodzić skutki chronicznego niedożywienia. Przez parę lat, jakie upłynęły od trzeciego z kolei wyborczego zwycięstwa Tony’ego Blaira, najmniej zarabiające 10% rodzin straciło średnio po dziewięć funtów z tygodniowych zarobków, gdy dochody 10% najzamożniejszych gospodarstw domowych wzrosły przeciętnie o czterdzieści pięć funtów tygodniowo.

Ale co bodaj jeszcze istotniejsze przy rozważaniu perspektyw socjalistycznej alternatywy, jaskrawa i potęgująca się w zawrotnie rosnącym tempie nierówność dochodów i standardów życiowych nie jest tylko kwestią marginalizacji sporych odłamów społeczeństwa, niepewności ich bytu i chronicznie rozpanoszonego głodu, jak dotkliwie bolesne nie byłyby to przeżycia dla ich ofiar. Badania wykazują zgodnie, że w krajach o najwyższej rozpiętości stanu majątkowego, jak Stany Zjednoczone lub Wielka Brytania, częstotliwość zachorowań psychicznych jest trzykrotnie wyższa, niż w krajach ulokowanych u spodu tabeli społecznej nierówności. O wiele większa jest też w tych i im podobnych krajach proporcja ludzi w więzieniach, liczba ludzi chorobliwie otyłych, nastoletnich dziewcząt w ciąży czy (we wszystkich warstwach, od najniższej do najwyższej) stopa umieralności. O ile ogólny stan zdrowia rośnie wraz z ogólną zamożnością kraju, przewidywalność życia w krajach o tym samym poziomie zamożności jest tym wyższa, im równiejszy jest podział dochodów — i to we wszystkich klasach. Zauważmy jeszcze, że poziom zdrowotności w społeczeństwie koreluje się znacznie ściślej ze stopniem społecznej równości niż z sumą wydatków na cele zdrowotne...

Lista odmian przejawów zła społecznego (czyli zła powodowanego przez w zasadzie naprawialne niedomagania społecznego układu) nękających tak zwane społeczeństwa rozwinięte, jest długa; wydłuża się też nadal, wbrew wszelkim wysiłkom zapobieżenia nowym utrapieniom i na przekór staraniom uśmierzenia tych dawniej powstałych. Do utrapień już wspomnianych dodać wypada, w pierwszym rzędzie, rosnącą zastraszałą częstotliwość umysłowych i emocjonalnych dolegliwości czy obserwowany powszechnie uwiąd wzajemnego zaufania, bez którego spójność społeczna i gotowość do współpracy dla „wspólnej sprawy” jest nie do pomyślenia. W wypadku każdej niemal z odmian „społecznego zła” jego gęstość i głębia rosną wraz ze wskaźnikami nierówności społecznej. Stany Zjednoczone znajdują się

w ścisłej czołówce ligi społeczeństw nieegalitarnych, Japonia u dołu tabeli. W USA na każde sto tysięcy mieszkańców pięćuset z górą przebywa w więzieniach, w Japonii mniej niż pięćdziesięciu. Plagą otyłości dotknięta jest w USA jedna trzecia ludności, w Japonii jedna dziesiąta. W USA na każdy tysiąc piętnasto- i szesnastolatek pięćdziesiąt zachodzi w ciążę, w Japonii trzy. Co czwarty Amerykanin lub Amerykanka cierpi na dolegliwości psychiczne, ale tylko co piętnasty Japończyk lub Japonka. W Hiszpanii, we Włoszech i w Niemczech, krajach o zbliżonych do Japonii wskaźnikach równości społecznej, jedna osoba na dziesięć skarży się na psychiczne dolegliwości — gdy w Wielkiej Brytanii, Australii, Nowej Zelandii i Kanadzie, zbliżonych pod względem nasilenia nierówności do amerykańskiego bieguna, jedna osoba na pięć.

Wszystko to są dane statystyczne: sumy, przeciętne, ich korelacje. Niewiele mówią nam one o związkach przyczynowo-skutkowych, które kryją się za tymi korelacjami. Ale są bodźcem, jakiego wyobraźnia socjologiczna uspiąca czy znarkotyzowana niedawną modą na prognozy „końca” ideologii, konfliktów społecznych, alternatywnych układów społecznych czy wreszcie historii samej, pilnie dziś potrzebuje. Wzbudzają czujność, alarmują. Apelują jednocześnie do sumienia i instynktu samozachowawczego. Są wyzwaniem dla nader dziś rozpowszechnionej apatii etycznej i znieczulicy moralnej. Nade wszystko zaś dowodzą, i wielce przekonująco, że wbrew panującym dziś opiniom i praktykom dążenie do szczęścia i „dobrego życia” jednostki nie może być sprowadzone do jednostkowego *amour de soi*; by mieć szanse spełnienia, nie może być ono praktykowane w oderwaniu od troski o jakość społeczeństwa, w którym się dokonuje — której to jakości nie da się z kolei mierzyć przeciętnym dochodem ludności, podobnie jak nośności mostów nie da się mierzyć przeciętną mocą prądu, ale trzeba mocą najslabszego z nich... Te dane ukazują, jak płonna jest nadzieja, iż ulepszenie kondycji ludzkiej, czyli godziwe i satysfakcjonujące życie (nie wspominając już o życiu wolnym od koszmaru niepewności, któremu — przypomnijmy — nowoczesność u swego zarania wypowiedziała wojnę) może być osiągnięte metodą „zrób to sam” (i dla samego siebie). Sugerują, że do takiego celu nie można się zbliżyć dystansując się od „cudzych”, „nie swoich” nieszczęść i cierpień.

W jednym z licznych zeszytów, jakie wypełniał w czasie swego wieloletniego pobytu w faszystowskim więzieniu, Antonio Gramsci napisał, że „kryzys polega do-kładnie na tym, że to, co stare, umiera, gdy nowe jeszcze się nie narodziło; w takim interregnum pojawia się szeroki wachlarz patologicznych symptomów”³. Terminu „interregnum” używano oryginalnie na oznaczenie okresu przejściowego między śmiercią lub obaleniem jednego suwerena a intronizacją jego następcy. Starożytne prawo rzymskie przypieczętowało takie jego rozumienie, wprowadzając proklamację tzw. *Justicium*, czyli (jak to Giorgio Agamben przypomniał w swym studium o stanie wyjątkowym, *Lo stato di eccezione*, z 2003 roku) stanu przejściowego a z założenia tymczasowego, w jakim prawa stanowione przez dawnego imperatora były zawieszane w oczekiwaniu nowych, jakie ustanowi jego następca. Gramsci jednakowo wypełnił pojęcie „interregnum” nowym znaczeniem, odnosząc

³ A. Gramsci, *Quaderni del carcere*; tu cytowane na podstawie angielskojęzycznego wydania *Selection from the Prison Notebooks*, London 1971, s. 276.

je do szerszego zakresu aspektów socjalno-polityczno-prawnego układu i głębszych warstw uwarunkowań kulturowych. Co najistotniejsze, odłączył on pojęcie od jego tradycyjnego powiązania z rutynowym interludium między zdaniem a przejęciem dziedzicznej czy elektorskiej władzy, a związał je dla odmiany z sytuacjami nadzwyczajnymi, wyłamującymi się z rutyny: do okresów, w jakich dotychczasowe organy władzy traciły moc potrzebną do utrzymywania życia społecznego w zadanych ryzach, zaś nowych instytucji nadzoru i regulacji, instytucji skrojonych na miarę nowo powstałych realiów społecznych, które rozsadały zastane układy i groziły uczynieniem ich beużytecznymi, znajdowały się jeszcze w fazie projektowania, nie były jeszcze zmontowane albo nie pozyskały autorytetu czy nie zgromadziły zasobów potrzebnych dla sprawowania przyznanej im funkcji.

Są podstawy, by przystać na sugestię Keitha Testera⁴, iż obecna sytuacja planetarna ma znamiona kolejnego interregnum w omówionym powyżej sensie. Jak Gramsci postulował, „to, co stare, obumiera”. Dotychczasowy ład planetarny oparty na zasadzie ścisłego związku, splotu czy jedności terytorium, państwa i narodu, suwerenności przysługującej tej i tylko tej trójjedyniej instytucji i mocy raz na zawsze pożenionej z polityką i ulokowanej na terytorium państwa-narodu jako ich jedynego operatora, na naszych oczach słabnie, a wedle niektórych opinii dogorywa. Suwerenność nie jest już koniecznym i bezspornym atrybutem żadnego z trzech elementów terytorialno-państwowo-narodowej trójcy; jest do nich luźno tylko podłączona, z reguły kontestowana, a nadto znacznie okrojona w swych rozmiarach, treści i wadze. Nerozerwalne ponoć stadło mocy i polityki państwowej skłania się ku separacji od łoża i stołu, a wedle niektórych opinii chyli się ku rozwodowi.

Suwerenność omawianej tu triady jest dziś niedookreślona, sporna, porowata i słabo chroniona. W ubieganiu się o suwerenność w najmożliwiej pełnym wydaniu państwa-narody napotykają rosnące zastępy konkurentów — rzeczywistych lub tylko aspirujących, ale z reguły zادیornych, wojowniczych, nieprzebiegających w środkach i otwarcie czy z ukrycia lekce sobie ważących zasadę *cuius regio, eius potestas, lex et religio*, linie graniczne na jej mocy zakreślone i prerogatywy, jakich owe granice miały strzec. Terrorysty, hakerzy czy finansjerzy, jak to ostatnio zauważył Antoine Garapon na łamach „Esprit”, bez wielkiego trudu ignorują graniczne podziały; rosnąca zaś liczba konkurentów nie-państwowego rodzaju przerosła już mocą zasoby przeciętnego państwa-narodu pojedynczo czy w kombinacji (ponadpaństwowe firmy finansowe, przemysłowe i handlowe są dziś, wedle obliczeń Johna Graya⁵ w posiadaniu „około jednej trzeciej produkcji światowej i dwóch trzecich światowego handlu”). Suwerenność — moc stanowienia obowiązujących reguł i czynienia wyjątków — jest dziś sfragmentaryzowana, rozproszona, i kondensująca się okazjonalnie w licznych i zmiennych ośrodkach; ruchliwym, niezakotwiczonym terytorialnie agentom łatwo wygrywać jedne fragmenty przeciw drugim, korzystając z ich chronicznego niedopasowania i braku koordynacji dla uniknięcia skutecznej ingerencji któregośkolwiek z nich. Moc porusza się, napotykając tylko niewielkie

⁴ Zob. K. Tester, *Pleasure, Reality, Novel and Pathology*, „Journal of Anthropological Psychology”, 21 (2009), s. 23–6.

⁵ Zob. J. Gray, *Gray's Anatomy: Selected Writings*, London 2009, s. 231.

przeszkody, w globalnej przestrzeni przepływów. Polityka, niegdysiejsza wyłączna właścicielka, dyspozytorka i zarządzyni mocy, pozostaje po dawnemu lokalna.

Skąd nowe uniwersalne (co tym razem, po raz pierwszy w dziejach ludzkości, oznacza iście ogólnoplanetarne) zasady ludzkiego współżycia, powszechnie uznawane i przestrzegane, mogą nadejść? Gdzie szukać aktorów i agencji zdolnych do ich zaprojektowania, puszczenia w obieg? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ten właśnie problem stanowi najpoważniejsze z wyzwań, jakim bieżącemu stuleciu wypadnie stawić czoła i wziąć się za bary, ogniskując gros sił na uzyskanie właściwej na nie odpowiedzi. Można ów problem nazwać „metaproblemem” — problemem, bez którego rozwiązania nie do pomyślenia jest skuteczne rozwiązanie pozostałych. Jakakolwiek z licznych dokuczliwych i bolesnych spraw trapiących dziś planetę rozważamy, poszukiwania sposobów ich załatwienia nieodmiennie prowadzą do prawdy, jaką ignorować możemy tylko na naszą — wspólną — zgubę: że mianowicie rozwiązania globalnych problemów mogą być tylko, muszą być, podobnie owym problemom globalne.

* * *

Liczne i ważne są powody, by rocznicę upadku komunizmu świętować radośnie. Ale nie mniej liczne i ważne są powody do wnikliwego i troskliwego namysłu nad losem dziecka, dla którego owa komunistyczna kąpiel, której rocznicę wylania świętujemy, była przeznaczona. Być może dotrą wówczas do naszych uszu szloch i skargi porzuconego dziecięcia na brak naszej uwagi i troski.

Zygmunt Bauman
wrzesień 2009

Communism: Time for *Post mortem*?

SUMMARY

This paper is devoted to the deliberations on the vision of communist society as the phase of modernity. Author argues that the modern communism was nothing more than dusted off set of ideas inapplicable to the current circumstances. But there is something more important than disparagement of communism in itself. In critical analysis of modernity as some kind of „response to inefficiency of *ancien régime*” the author presents evidence to social reforms bounded up with the appearance of capitalism. Modernity in Bauman’s paper is presented as an inevitable confrontation between Marxist prophesy about revolution of the proletariat and socio-political aspects of capitalist order which undermined theoretical principles of socialism and its strategy. Despite the critical commentaries on the communist regime, author ponders on the substantial promise of communism in itself, which realized its potential in the past and in the globalized world is one of the most significant aspects to discussion and the crux of the contemporary reflection.